Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 26 Marca. Nr. 10

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Nieco o idjotyzmach w literaturze naszej i o koszlawieniu języka.

Sprawa, w której głos pragnę zabrać, jest bardzo drażliwą, ale bardzo ważną — jest to kwestja czystości języka naszego literackiego. Mówiąc o czystości, nie rozumiem bynajmniej potrzeby zamknięcia języka w tak ścisłych granicach, ażeby przez nie nie mogły przedostać się żadne wpływy postronne. Język żyjący musi ciągle dokompletowywać swoją skarbnicę wyrazami nowemi, czerpanemi bądź z bogatej dziedziny życia ludowego, bądź u narodów pokrewnych, bądź wreszcie tworzyć musi potrzebne wyrazy sztucznie. Inaczej nie byłby żyjącym. Chodzi o to, ażeby wzbogacanie się odbywało się zgodnie z duchem języka, ile razy chodzi o wyrazy lub zwroty nowe. Czystość jednak języka literackiego nietylko na tem polega. Język jest środkiem do wyrażania myśli, język literacki musi przeto wyrażać każdą myśl jasno, logicznie; niedość jest zestawić gramatycznie wyrazy w zdanie, trzeba ażeby to zdanie nie było skoszlawionem, ani pod względem leksikologicznym, ani stylowym. W większej lub mniejszej mierze jest to kwestją talentu i umysłowego rozwoju pisarza, ale często jest lekkomyślnością ze strony piszącego, nie umiejącego dostatecznie władać językiem, lub lekceważeniem czytelników — jeżeli redakcje pism lub wydawcy nie prowadzą bardzo surowej korekty literackiej.

Życie umysłowe w całym świecie, a więc i u nas zyskuje na szerokości, potrzeby umysłowe rosną, czytelnictwo zwiększa się — literatura musi czynić zadość temu powszechnemu prądowi, Nasze społeczeństwo tym potrzebom nie może w dostatecznej mierze nadążyć; ustosunkowanie między ludźmi potrzebującymi pokarmu umysłowego, a ludźmi wytwarzającymi ten pokarm, jest bardzo niekorzystne. Krótko mówiąc, za mało mamy pisarzy stosownie do potrzeby. Stąd wypływa gorączkowe zasilanie naszego społeczeństwa literaturą obcą, przeważnie francuską, ze względu na sferę czytającą, bardzo dla naszej literatury i społeczeństwa szkodliwe. Ale to do rzeczy nie należy. Ostatniemi czasy rozwinęło się dziennikarstwo; ten pokarm codzienny, którym się miliony ludzi karmi, trzeba przygotować prędko z dnia na dzień, a dużo.

Nad temi warsztatami kontrolę prowadzić prawie niepodobna. Wszyscy usprawiedliwiają się poniekąd słusznie, że pospiech jest tu wszystkiem. Prawda: dlatego też zbyt często przynosi on mały pożytek, a wielką szkodę.

Ci, którzy z obcej literatury przenoszą do naszej zamiast arcydzieł, ładnie ugarnirowane śmiecie, jakoteż ci, którzy codzień muszą zadrukowywać arkusz papieru wiadomościami z polityki, mają nie język na względzie, lecz potrzebę lub nałóg czytelników. Muszą temu zadość czynić z pospiechem, a trzeba przyznać, że nie zawsze posiadają odpowiednie uzdolnienie. Jedni więc traktują swoją pracę jako rzemiosło, inni nie potrafią jej inaczej traktować. Z tego wypływa, że społeczeństwo, pragnące jakiego takiego posiłku umysłowego, duchowego, karmione jest albo przez niedorostków umysłowych, nie mających nic do dania innym, albo ludzi nieznających zarówno własnego, jak i tego języka z którego przekładami zachwaszczają naszą literaturę. Gdybyż literaturę — ale zachwaszczają także umysły i moralność tej garstki czytelników, która z zaufaniem pewnem do zadrukowanej bibuły, wchłania w siebie rozkładowe zarazki języka ojczystego.

Zebrałem garść idjotyzmów, barbaryzmów i dziwolągów językowych. Wiem, że inni robili już to samo z większą odemnie znajomością rzeczy, a jednak wracam do tego tematu, bo jestem tego zdania, że na chwasty naszego języka musimy wszyscy pilną uwagę zwracać i nigdy może więcej, jak dziś przestrzegać czystości ubogiej naszej grzędy literackiej. Nie będę się wdawał w krytykę tych idjotyzmów i dziwolągów; pragnę je tylko postawić przed oczy czytelników — i tego dosyć. Znajdzie on tu nieco wesołości na smutny temat.

Ażeby usystemizować zebrany materjał, podzieliłem go na trzy grupy: beletrystykę, pisma codzienne i literaturę naukowa.

Prawdziwą plagą naszej beletrystyki są przekłady z obcych języków i tak zwana literatura panieńska. Aspiranci i aspirantki do zawodu literackiego przechodzą bardzo często od ćwiczeń szkolnych do ćwiczeń na polu literackiem. Jednych praca dla chleba popycha na to pole, innych — próżność pospolitego gatunku, drobna, zaściankowa, zapatrzona tylko we własną osobę, po za którą najczęściej nic nie widać. Bez zdolności i wykształcenia jakiegokolwiekbądź, wędrują tacy panowie i panie od redakcji do redakcji z propozycją przekładów lub z własnemi nowelkami, obrazkami, noweletkami, ledwie nie nowelątkami bez krzty talentu, bez odrobiny obserwacji. Z wytrwałością i uporem maniaków wracają oni ciągle do tego samego miejsca, do tych samych stolików redaktorskich, proponując pracę swoją darmo lub prawie darmo — za chęć ujrzenia jej w druku. Rzadko jakie pi

smo oprze się pokusie przyjęcia pracy bezpłatnie ofiarowanej. Znałem jedną tak zwaną „nowelistkę", która zmęczywszy redaktora do tego stopnia, że jakąś jej bazgrotę przyjąć musiał, nalegała i prosiła potem z całą naiwnością, ażeby nowelkę umieścić koniecznie — na dzień imienin mamy. Zapewne, można w takich razach podziwiać dobre serce córki, ale dlaczego czytelnicy cierpieć na tem muszą?

Płytkość umysłowa szerzy nietylko pospolitość myśli, lecz także zły smak estetyczny pośród czytelników, wydawcy zaś, za własne pieniądze prenumeratorów, przynoszą im, jakoteż ich rodzinom, nieobliczone szkody.

Zacznijmy od przykładów. Tu panuje prawdziwa epidemia idjotyzmu, połączonego z nieznajomością języków.

Pod względem szerzenia dziwolągów językowych niektóre pisma, jakkolwiek redagowane przez bardzo poważnych krytyków i znawców języka ojczystego, smutny prym wiodą.

Oto próbka z przekładu powieści Stryj Scypion Andrzeja Theuriet.

Bohater ubrany jest w wykwintny paletot, z pod którego występuje surdut, zapięty na spodniach nankinowych.

„Jest tu! — wykrzykuje, klapiąc w safianową serwetę".

„Nie mogę tego przyboru (chodziło o necesser) złożyć w ręce właściwsze, jak kobiety domowej, która dla mnie wciela ideał cnót". Znana jest wprawdzie — grupa zwierząt domowych, ale o gatunku kobiety domowej — nic nie wiemy.

Niemniej pięknych i pożytecznych rzeczy dowiadujemy się z dalszego ciągu tej powieści: bohater „wyciąga pięść denuncjacyjną", z paletota jego „leje się woda błotna", sam on jest „złośliwym gadem, który chrząka w przystępie białego gniewu". O innym bohaterze tłumacz — w korekcie znawcy języków — powiada, że jest to rosły 22 letni chłop bardzo płowy, a w objęciu nieśmiały". Skarbów idjotyzmów w przekładzie tym krocie. Ludzie znajdują się tu w ścieśnionem położeniu, trzymają się skalisto, popadają w grzech obojętności, padają w objęcia rozpłaczeni.

A co tu za djalog piękny! Warto posłuchać.

„Zostajemy chwilę w milczeniu, potem ja podejmuję:

Dziś wieczór nocować będziemy w Jeanc d'heurs nie z moim żalem.

— A tak — odrzekł ironicznie bohater."

Mimowoli przypomina to prześliczną powieść o pięknej Magelonie, albo Rinaldo-Rinaldini.

Proszę nie myśleć, że to tylko Theuriet tak spolszczony z równą znajomością języków i czystością stylu przełożono „namiętnostkę" Gypa. Posłuchajmy tylko.

„Dwa psy, nieokreślonego pochodzenia skakały na margrabinę i zażerały ją pieszczotami".

„Mała brunetka pozująca, bardzo ładna, ale obładowująca swą małą figurkę zwaliskami kaftanów, kwiatów, klejnotów".

Albo — co to za pyszna łamigłówka do rozwiązania:

„Margrabina, siedząc (w powozie) na skrawku ławeczki, znajdowała się wręcz między jednemi i drugiemi drzwiczkami".

Z powieści tej można się dowiedzieć jeszcze ciekawszych rzeczy, np., że z wilgoci „można śmierć ponieść", że „mury mogą zbutwieć" lub znaleść takie wzory stylu: „zdaje się, iż spotkałeś kogoś, który dotąd omieszkał jeszcze pokazać ci szafę, w której chowają się miotły."

W przekładzie powieści Sante Rosa znajdujemy także kwiatki: „Bellmana (bohater) chodził po księżycu", „Viola ciągle się rumieniąca odwróciła głowę", a gdy jej było zbyt gorąco, „ochłodziła się kieliszkiem wina, rozebranego wodą".

Oto jest odrobina tych nonsensów, jakiemi wydawcy nasi za tanie pieniądze karmią publiczność. Można prawie zaręczyć, że na 100 powieści tłumaczonych 99 jest tak tłumaczonych. Mniejsza z tem, że takie przekłady nie dają najmniejszego pojęcia o utworze, ale one koszlawią mowę potoczną czytelników, uczą wyrazów i zwrotów dziwacznych, przyzwyczajają do pospolitości w słowie i piśmie. Przestajemy wreszcie wierzyć w to, że istnieje bowiem budowa zdania, że pisarz może mieć swój własny charakter, który się nazywa stylem.

W belletrystycznej literaturze oryginalnej bynajmniej nie dzieje się lepiej. Nie wiem czybyśmy naliczyli dwudziestu, trzydziestu pisarzy, dbałych o czystość języka, reszta pisze na kolanie, żargonem często francusko-polskim, lub mięszaniną trudną do określenia. Pomijam brak wszelkiej logicznej obserwacji, będący charakterystyczną cechą większości piszących u nas kobiet, ale u pisarek starych, wytrawnych można napotkać n. p. takie ustępy.

„Musi być zmęczony, odpoczywa on także. Czyż on mógł znaleźć odpoczynek zdala od niej, czyż nie odczuwał już tętna jej zbolałego serca? Zrozumiała teraz, iż on nie mógł podzielać jej żalu, że on nie stracił ojca jak ona. Cóż on miał robić, kiedy ją kochał, chociaż ona, zdaje się, przestała jego kochać. On jednak wierzył, że się ona pozorami nie obałamuci, bo jej dobre serce biło zawsze dla niego..." W sześciu wierszach szesnaście razy użyto zaimku osobowego.

Ani styl niechlujny, że tak powiem, ani obserwacja pozbawiona wszelkiej prawdy nie są bynajmniej przyrodzoną właściwością literatek, niektórzy piszący mężczyźni przewyższają pod tym względem kobiety, które niekiedy gładkością i wdziękiem pokrywają brak sensu. Oto np próbka z powieści literata bardzo — wytrwałego w pisaniu.

„Pod chórem, w ciemnym kącie, do muru przyciśnięta, stała postać kobiety. Po kształtach nie było można poznać, ażali była dziewczyną lub kobietą zamężną." Otóż nie ma racji?.

Albo to naprzykład: „statek zadrżał, jak dąb spiorunowany".

Możemy śmiało zakończyć ten krótki przegląd dziwolągów językowych słowami Estei, wielkiej miłośniczki stylu francusko- polskiego: „dosyć już tego bataklonu!".

Przejdźmy teraz dziennikarstwa. Tu trzebaby mrówczej pracowitości, ażeby zebrać wszystkie błędy językowe. Dziennikarstwo fałszuje nasz język, historję, geografią,—wszystko czego się dotknie. Niektóre dzienniki warszawskie, a wszystkie lwowskie używają wyrazu ministerstwo zamiast ministerjum.

I ten, i tamten — nie nasze wyrazy, ale drugi utarł się u nas, gdy pierwszy jest rusycyzmem. Reporterja posługuje się z pewną fanfaronadą takiemi wyrazami jak wentylowanie kwestji, sanacja, zbłamowania się posła, nonszalancja nianse (nuance) konnojezdka i niebosklon zamiast amazonka i widnokręg. Wyrazy skłon oznaczają po rosyjsku pochyłość, ale w naszym języku nie ma wcale wyrazu skłon. W ogóle moskiewszczyzna niesłychanie bruździ w warszawskiem dziennikarstwie, które z konieczności posługiwać się musi prasą rosyjską. Stąd też można się spotkać z takiem zdaniem: „żołnierzom rozdano chleb pieczony," co jest dosłownym przekładem z rosyjskiego, a idjotycznem u nas. Moskale to, co my nazywamy zbożem, nazywają chlebem (chleb), a wypiek z ciasta, dla odróżnienia od zboża nazywają chleb pieczony. My zaś innego chleba nie jadamy, tylko pieczony. Jedno z pism codziennych, najpoczytniejszych w Polsce, doniosło w telegramach: „Boulanger zabił się rewolwerem, używanym w kawalerji francuskiej. Pewne pismo lwowskie daje taki telegram: „Kupiec X. popadł w konkurs i zastrzelił się rewolwerem". Inne pisze z całą powagą: „Nieprzyjaciel, widząc, że jego broń, na którą pokładał całą nadzieję, nie powstrzymuje przeciwnika, podaje tył — czyli mówiąc grzeczniej tugam dedit". Uczony reporter czerpiący wiadomość z dziennika policyjnego, w ten sposób się wyraża: „Przedmioty, będące dowodami kradzieży, były tak pessymistycznie spisane, że 11 obrazów w ramach oceniono na 40 złotych." Pomijam takie wyrazy, jak awanse, klapa, biegi, któremi upstrzony bywa ledwie nie każdy numer dziennika.

Gieografia w naszem dziennikarstwie, szczególnie Ukrainy i Podola, traktowana jest z taką znajomością, jaką jedynie odznaczają się Francuzi. Niestety, stosuje się to nie tylko do dziennikarstwa i nie tylko do gieografii nowożytnej, ale i historycznej. Pisarze bardzo poważni, wydający okropnie grube tomy źródeł dziejowych z całą pewnością utrzymują, że nie mogli znaleść na żadnej mapie pewnej miejscowości, która bywa stale oznaczaną na każdym atlasie szkolnym; inni przenoszą miasta całe i wsie z prawego brzegu Dniepru na lewy ledwie nie złatwością komunikacji balonowej, a niedawno pewien prezes strasznie uczonego ciała przeniósł całe miasto, istniejące dotychczas na Podolu — na Wołyń. Prawda, że są to tylko doktorowie filozofii, nie zaś gieografii.

Cóż dopiero mówić o pisarzach minorum gentium, którzy stale używają, Kręte zamiast krute, Czudnowo zamiast Cudnów, Ładyżyno zamiast Ładyżyn, Kadonia zamiast Kodynia, Czegiryn zamiast Czehryń, Równe — i tak bez końca.

Literatura naukowa, a właściwie niby naukowa, uprawiana przez ludzi obdarzonych wielką nieraz, pamięcią i pracowitością, lecz pozbawionych zupełnie umiejętności logicznego myślenia i wyrażania myśli, wnosi także do naszego codziennego życia sporo idjotyzmów, albo dziwolągów językowych, któremi karmi biednych i cierpliwych czytelników. Pewien np. socjolog który może być typem uczonego idjoty, tak pisze: „Ponieważ mamy w myśli moralnie zbudowaną jednostkę, w której potrzeby fizjologiczne nie drzemią, przeto musimy przypuścić, że chwila nadchodzi, gdy zawiera się stosunki z kobietą i ogląda się ojcem" — zamiast po prostu „zostaje o cem". W tym samym artykule czytamy, że „marka (staro-niemiecka) t. j. spółkowina rolna stanowi podstawy stosunków własności, zarówno na wsi jak i w mieście". W innem miejscu głęboko uczony autor w ten sposób przemawia do swoich czytelników: „Wystarcza nam obecnie ta okoliczność, że z czasem ustaje inny zakład podziału płciowego pracy i współdziałanie obu płci przyjmuje odmienny wygląd", co ma tyle znaczyć, że podział pracy według płci wytwarza inne ukształtowanie się zatrudnień.

Albo oto próbka „uczonego" sui generis wyrażania się — odpowiedź jakiemuś ciekawemu czytelnikowi. „Przeciwnie, Lafargue należy do obrońców przymusowego nauczania we Francji. To zaś co mówi w swojej książce, tyczy się przedewszystkiem pobudek, jakie skłoniły wielki przemysł do żądania wczoraj fabrykacji inteligentnego towaru". Można śmiało obiecać konia z rzędem temu, kto zgadnie, o co tu idzie. Taka nauka nigdy chyba i dla nikogo światłem nie będzie.

Są ludzie pozbawieni zupełnie logiki, a natomiast obdarzeni sporą dozą zwykłej, szarej pospolitości; chęć odznaczenia się czemkolwiek popycha ich do produkowania swojej uczoności w formie niezrozumiałych zupełnie frazesów, które przy czytaniu sprawiają wrażenie przesuwającego się po przetaku grochu. Oni to są popularyzatorami idjotyzmów. Jeden np. z tego rodzaju uczonych popisuje się takiemi wyrazami jak: „czytelnik lądowy", „śródziemnomercy" i „nadśródziemnomorcy". W tych dziwolągach językowych nikt aniby się domyślał narodów mieszkających bezpośrednio nad brzegami morza Śródziemnego i wyżej nad niemi. Ale ci właśnie, którzy wyżej mieszkają tak dobrze daliby się nazwać Nadśródziemnotwórcami jak, dajmy na to Północnomorcami.

W innem miejscu np. uczony kronikarz tak pisze: O„ jedwabnikach wiemy, że p. Bogucki w Bogucinie hoduje kokony (zamiast produkuje) i sprzedaje jajeczka poczwarek". Oto mi dopiero naturalista, co się zowie.

Tak. Można się często zaśmiać, czytając takie dziwolągi, ale na dnie tej wesołości spoczywa smutek. Gdy takim językiem przemawiają stale do czytelników, szczególnie tam, gdzie szkoły polskiej nie ma lub do takich, dla których

pismo jest szkodą, gdy się pomyśli, że poziom umysłowy wydawców najczęściej odpowiada stylowi i uczoności współpracowników, literatura przestaje przynosić pożytek, a księgarnie stają się składami i sklepikami szerzącymi tandetę literacką, pozbawioną odrobiny artyzmu, czystości języka, a często sensu. Wówczas wesołość znika a robi się bardzo smutno...

Fr. Rawita.

Pamiętniki Salviniego.

Mogłoby się komuś wydać dziwnem, iż Salvini, tragik włoski, obrał sobie miesięcznik amerykański do ogłoszenia swoich pamiętników. A jednak tak się stało. Jeden z ostatnich nr. „Century“ przynosi nam pierwsze kartki tych pamiętników, które mówiąc nawiasem, są zazbyt jaskrawą niekiedy autoapologją. Zresztą, nikt nie jest prorokiem w swoim kraju. Salvini nigdy podobno nie był tak wielkim we Włoszech, jak w Europie i obu Amerykach.

Dotychczas artyści liryczni i dramatyczni w czasie podróży zamorskich, przedsiębranych gwoli sławie i mamonie, zadowalniali się przesyłaniem do swych przyjaciół, zwłaszcza mających z dziennikarstwem stosunki, lakonicznych depesz, lub listownych biuletynów, kreślących entuzjazm tłumów, objawy zazdrości ze strony współzawodników, wynurzenia przyjaźni głów koronowanych i ogrom wpływów kasowych. Salvini postanowił utrwalić w formie pamiętnikowej ulotne te reklamy i przyznać mu potrzeba, okazał się mistrzem w swem dziele.

Po odczytaniu autobjografji tragika włoskiego, historyczny okręt, który wiózł Cezara i jego losy jest marną łódką w porównaniu z „Izabellą“, parowcem, wiozącym Salviniego i jego trupę z portu genueńskiego do Buenos-Ayres. Oczywiście, kto podróżuje po oceanie, winien opisać burzę morską, bo inaczej ludzie gotowi powiedzieć, iż był w Rzymie, a papieża nie widział. Zawierają też i opis burzy pamiętniki Salviniego. Sceny „straszliwe w swym majestacie“ lub „majestatyczne w swej grozie“ powtarzają się kilkakrotnie w czasie podróży, oświecane błyskami piorunów, przy akompanjamencie grzmotów, co wszystko razem przypomina Salviemu „Oblężenie Rzymu“ (?). Wreszcie „Izabella“ wpłynęła do portu Buenos-Ayres, gdzie dowiedziano się o smutnej nowinie. Febra żółta wybuchła w mieście, a dziennie pochłania po 800 ofiar. W tych warunkach trupa rozpoczęła przedstawienia od Montevideo, gdzie powodzenie Salviniego dosięgło rozmiarów niewidzianych dotychczas. Przy wyjeździe niezliczone tłumy odprowadzają tragika na pokład okrętu, przez ulice usłane kwiatami, okna są ozdobione flagami, młode dziewice rzucają wielkiemu Salviniemu kwiaty pod stopy. Oczywiście, w Buenos-Ayres entuzjazm dochodzi do szczytu, zwłaszcza w chwili wyjazdu do Rio-Janeiro. Tu spotyka Salviniego rozczarowanie, gdyż w stolicy nie znajduje cesarza, który podróżował wówczas po Europie.

Ale i największe tryumfy dobiegają kresu. Salvini powraca do Włoch, gdzie proponują mu objęcie roli Pyladesa w „Oreście“ Alfierego, obok Ernesta Rossiego. O fakcie tym zaznacza autor pamiętników w ustępie następującym:

„Widziałem już Rossiego w rolach innych, daleko ważniejszych, jako we „Francesca di Rimini“ w „Romeo“, w „Hamlecie“. Była chwila, gdy publiczność włoska uważała go za najlepszego w świecie Hamleta. Pochodziło to ztąd, iż Rossi w tej roli więcej stara się schlebiać gustowi publiczności włoskiej, niż anglo-saksońskiej“.

W dalszym ciągu przyznaje Salvini łaskawie, iż Rossi, „gdy był młodym“, miał głos dźwięczny, giętki i do modulacji podatny. „Ale Rossi — słowa Salvieniego — ani razu na scenie nie był naturalnym. Najbardziej przychylna dlań publiczność spostrzegała po niejakim czasie, iż miała na scenie nie postać żywą, ale aktora grającego rolę“. Oczywiście Salvini uważa siebie za wolnego od podobnych zarzutów, a swoją grę za najwyższy stopień doskonałości.

Po tej krótkiej wycieczce w dziedzinę krytyki, powraca Salvini do autoapologji, zanim rozprawiać się zacznie z Irvingiem. Wycieczka artystyczna trupy Salviniego odmalowana jest w barwach coraz silniej krzyczących. Salvini grał wielki repertuar szekspirowski, najchętniej zaś „Otella“. Od czasu do czasu tragik włoski wkracza w dziedzinę dociekań literackich. Między innemi dochodzi do niezbyt głębokiego wniosku, iż „Otello urodził się w Maurytanji“. Wniosek swój usprawiedliwia szeregiem wywodów, które nie świadczą o orlej bystrości tragika, od czasu bowiem istnienia teatru szekspirowskiego wiadomo, iż stary Will sam wskazał na pochodzenie zazdrosnego męża Desdemony, gdy napisał w tytule: „Otello, murzyn z Wenecji“.

Wreszcie zjechał Salvini do Londynu, zaangażowany przez Maplessona do roli Otella. Tu daje tragik włoski ocenę gry Henryka Irvinga, który jak wiadomo, jest najlepszym bodaj tej roli wykonawcą. Traktuje zaś Salvini Irvinga tak sobie, od niechcenia, jak mistrz skończony żaka. W rezultacie dochodzi do przekonania, że „Irving w swoim własnym interesie powinien unikać ról takich, jak Romeo lub Macbeth, bo nie odpowiadają jego ograniczonym wasunkom fizycznym i głosowym“. Podobno krytyka poważna nieco innego jest zdania, tembardziej, iż najpiękniejsze momenty roli wzorował Salvini na... Irvingu.

Po za autoapologją nie ma w pamiętnikach Salviniego nic dla aktorów, nic dla krytyków, nic dla dramaturgów. Wspomnienia tragika włoskiego nie zainteresują szerszego ogółu, bo oprócz wykrzykników, odpowiednich w reklamie, niema w nich nic nadzwyczajnego. Sylwetka Salviniego jako artysty, ginie obok postaci Salviniego, jako aktora przedsiębiorcy. Najwyższą dumą napełniają autora „Pamiętników“ komplimenty banalne, w rodzaju tego, którym obdarzyła go Adelina Patti:

— Ach, panie Salvini — rzuciła tragikowi kiedyś diva w przystępie dobrego humoru — jestem zazdrośna o pana...

Komplimenty takie podkreśla Salvini w swych „Pamiętnikach“. Widocznie przywiązuje do nich ogromną wagę...
